



TYGODNIK ILUSTROWANY DLA DZIECI.

„DO SERC KOŁACĄC.”



O Chryste, coś wszechświat ukochał cały,
Coś w każdej duszy czuł iskrę ogniska,
Co z woli Ojca życiem tu wytryska
Za Twoją miłość cóż ci dusze dały?...

O Panie, Panie, kiedyś był na ziemi,
Tyś do serc bratnich kołatał wytrwale,
A one grzęzły w ślepcie lub szale,
I Ty samotny byłeś między swemi,
I głos Twój w pustce i próżna Twa męka!
I w marnym gwarze konały wołania!
O Jezu! Jezu! nie smagań, nie plwania,
Duch Twój w Ogrójcu ludzkich nędz się lęka!

Do serc kołacąc, Tyś chciał Boży Synu
Zwrócić ku Ojcu dziatki zwyrodniałe,
Głód zbudzić w senny, i karmić zgłodniałe
Wskazując drogę cnotliwego czynu,
A dziatki Boże, dusze ukochane,
Co nie umiały stąpać drogą Twoją,
Nie widząc Ciebie, w cieniach drżące stoją,
Gdy Twoje serce w krwawych łzach skąpiane!

Marya Leona.

ZŁOTNIK KRÓLEWSKI,

OBRAZEK Z XIV W.

p. **Z. Morawska.**

I.

Strzala królewska.

Było to dawno, oj bardzo dawno, boć jeszcze w XIV w. kiedy król węgierski Karol Robert, zwany pospolicie Karobertem, wkrótce po koronacji objeżdżał swoje ziemie.

Słońce jasne rzucało promienie, góry tonęły w jego blasku i wyglądały tak, jakby całe złocistym pokryte były płaszczem. Zdawały się przytem mówić:

Tak jako złotem połyskujemy na zewnątrz, tak i w głębi naszej bogactw nieprzebranych tysiące..

Góry chwaliły się bogactwem, a Dunaj błękitny toczył swoje wody, czasem tylko gdy wiatr silniej zaszumił, on niecierpliwie podniósł fale swe jak gdyby mówił:

— Czemu mącisz mój spokój, ja w mojem łożysku, otaczam opieką tyle żyjącego stworzenia, i tyle roślin krzewi się na dnie mojem, nie dam im krzywdy uczynić.

A drzewa, trzymając się silnie ziemi korzeniami, wznosiły swe rozłożyste konary lub smagłe wierzchołki, szepcząc do siebie:

— Dobrze nam jako we własnym domu, boć ziemia, z której soki pijemy, jest domem naszym, a niebo błękitne rozkoszną dla nas osłoną.

I bogate łąny zieleniejące wiosenną świeżością również cieszyły się słońcem i czuły, że im dobrze; boć nikt ich spokoju nie mącił i były na tej ziemi, gdzie je posiano, również we własnym domu.

Król jednak nie wesolą miał postać, jechał nic nie mówiąc do nikogo i smutnem na wszystkie bogactwa swojego kraju spoglądał okiem. Jadąc też wdychał, jakby mu jakaś ciężka troska padła na duszę.

W tem z zarośla, z krzewin nad drogą rosnących wyleciało drobne ptaszę. Wyleciało chcąc sobie pobujać po szerokim świecie, lecz przestraszone orszakiem królewskim, skryło się w zarośla.

Król spojrzął za odlatującym i bystrym swym wzrokiem dojrzał, jak ptaszyna skryła się do gniazda uwitego wśród gałęzi i liści krzewów i wśród maleńkiego swego domku siedziała spokojnie. Królowi jeszcze więcej twarz posmutniała i jeszcze głębsze westchnienie uleciało z jego piersi, usta zaś szepnęły.

— Każde stworzenie Boże ma swoją przyrodzoną siedzibę, lub ją uwije jako oto to marne ptaszę swoim przemyśleniem. Ma gdzie spocząć i nie potrzebuje z miejsca na miejsce się przenosić, a ja król potężnego Węgrów narodu, nie mam dla siebie stałego mieszkania; tylko z jednego do drugiego miasta muszę się przenosić. Koronowali mnie co tylko w Albie, wszelkie przepychy i wspaniałości usłali mi pod nogi, wszelkie hołdy złożyli, a oto z tej Alby musiałem wyjechać, boć tam niema dla mnie domu, w którym mógłbym zamieszkać.

I westchnął znowu frasobliwie. Nagle jednak rozpoznało się jego młode, pełne życia i energii oblicze, wstrzymał konia, rozejrzał się po okolicy raz i drugi i uśmiech zajaśniał na jego ustach. Orszak cały stanął również około króla i oczekiwali, czy nie usłysz jakiegoś słowa, boć już każdemu ciążyło milczenie i niezwykły smutek monarchy. Karobert chwilę jeszcze popatrzył na ciągnące się nad Dunajem wyszehradzkie wzgórza, po chwili rzekł jakby do siebie:

— Pięknie tutaj na tych wzgórzach, ani słowa.

Przybocznici ośmieleni przemówieniem króla, zaczęli wychwalać rzeczywistą piękność okolicy.

Ten więc chwalił bujność trawy na stoku góry, ów krzewy rosnące wyżej, innemu bliskość rzeki się podobała, a tamten wdychał do drzew nęcących świeżym liściem, pod których cieniem dobrze byłoby choćby oto zaraz odpocząć.

Król uśmiechał się słuchając gawędy dworaków, gładził bujną ciemną brodę i nie przerywał im rozmowy.

— A ty, Kosza, co myślisz o tych prześlicznych wzgórzach — rzekł do ulubionego swego giermka.

— Miłościwy królu a panie, gdyby mi wolno było rzec, co myślę, tobym powiedział — odparło pacholę, skłaniając głowę przed królem.

— Mów więc! — rozkazał Karobert.

— Ja sobie myślę, że na jednej z tych gór dobrzeby było zbudować zamek, w którym miłościwy nasz pan mógłby stale zamieszkać i spoglądać na wszystkie ziemie podległe jego koronie. Góra wysoka, to nie potrzebaby jeździć a parzyć, co się dzieje, a jeno jego miłość król nasz by spojrział, toby i przejrzał chociaż w najodleglejszy zakątek.

Dworzanie prawie ze strachem słuchali takiej śmiałej mowy giermka, boć Karobert, jako był pan dobry dla swego królestwa, ale nie lubił, gdy mu kto długo bajął, a myśli swoje nasuwał i nieraz niewczesnego doradcę usuwał od siebie a czasem to i srodze ukarał. Tym razem jednak znać podobą się królowi mowa Koszy, oblicze bowiem jego coraz więcej się rozpogadzało a zadowolenie na niem było widoczne.

— Jakoż myślicie panowie, ten mówi nie głupio? — ozwał się do otaczających.

Każdy widząc rozchmurzone oblicze pana przyświadczał, że góra ta jakby umyślnie na to istniała, by na jej wierzchołku stanął królewski zamek.

I jak zaczęli przychwalać i opowiadać, kędy mogłyby być komnaty królewskie, kędy królowej, a w którym miejscu dla następcy tronu, a w którym dwór miał się mieścić, a kędy górowałyby baszty i strzelnice, a kędy cała zbrojownia i skarbiec, tak nie ubiegło i pięciu pacierzy, a zamek stał już zbudowany ich słowami, brakowało tylko murów.

Mury te jednak najwyraźniej zakreślały się w wyobraźni młodego króla, a otaczający widząc go mocno zajętego tą myślą wiedzieli, że tak jakoby już i stały. Boć Karobert od razu dał się poznać, że gdy sobie co postanowił, to i musiał dokonać.

— A na którymże wierchu postawiłbyś zamek? — zwrócił się nagle król do Koszy.

— Jako dla najjaśniejszego a najpotężniejszego króla, toć przystało tylko na najwyższym — rzekł śmiało chłopiec.

Karobert nie odrzekł nic na to, jeno rozkazał aby się łucznicy doń zliżyli.

Kosza skoczył z kopyta na prawe skrzydło i sprowadził łuczników. Król wysunął się z koniem, wziął od nadwornego łuk, którego zwykły był używać polując na sokoły, dał znak, żeby się wszyscy na bok usunęli, a potem poprawiwszy sam cięciwę, wymierzył do szczytu najwyższej góry z wyszehradzkiego pasma.

Chwilkę wszyscy stali w oczekiwaniu, aż rozległ się świst strzaly.

Kędy utknęła, któż mógł dojrzeć okiem.

Król oddał łuk a spiąwszy konia zawołał:

— Za mną!

I puścił się wplaw przez Dunaj.

Choć rzeka była w tem miejscu niezbyt szeroka, niejeden wstrząsnął się na ten rozkaz, ale trudno, rozkaz królewski, nie można mu się było oprzeć, tem więcej jeżeli sam król szedł na czele.

Szczęśliwie udała się śmiała przeprawa, Karobert najpierwszy stanął na lądzie, konie otrząsły się z wody po męczącej przeprawie, a jakby zapal królewski im się także udzielił, rażno jak na komendę parsknęły.

— Dobra nasza! — zawołał Karobert wesolo — konie parskają, ale im trzeba wypoczynku. To mówiąc zeskoczył z konia i oddał go luzakowi, inni poszli za jego przykładem.

Konie znęcone zieloną, wonną trawą, skubać ją zaczęły, dworzanie chętnie chcieliby również wypocząć, ale Karobert nie dał na to pozwolenia. Owszem, spoglądał na szczyty wzgórz, i każdy wiedział, że gotuje w myśli nową wyprawę.

Nie długo też na to czekali, ozwał się bowiem:

— Ci co chętni mojej osobie, a pragną, żebym nie tułał się, ale miał własny dach nad głową i siedzibę jako monarchę przystało, pójdą ze mną na szczyt Wyszehradu szukać strzały.

I powiódł ciekawem obliczem po najbliższych z orszaku. Wiedział bowiem, iż pomiędzy znakomitymi panami wielu miał niechętnych, umyślnie więc rzucił ten rozkaz. Ale nikt nie miał ochoty wydać się przed królem z ową niechęcią, każdy oświadczył, iż gotów nie tylko wdzierać się na szczyty, ale nawet i życie dać za jego osobę.

Uśmiechnął się na tę gotowość Karobert, a jako raz co postanowił, zaraz też musiał tego dokonać, rzekł więc:

— Nie będę wszystkich waszmościów trudzić, czterech panów pójdzie tylko i Kosza. Zeby zaś nie ubliżyć żadnemu, los niechaj naznaczy, komu ta wyprawa należy.

To mówiąc, kazał sobie podać ośm uździenic, na czterech zadzierzgnął węzeł, a cztery inne bez takowych zostawił. Przykrywszy potem uździenice siodełkiem zdjętym z konia, końce ich tylko nogą przydepnął.

— Teraz moi panowie, kto tak chętny dla mnie, niechaj się schyli a uzdę wyciągnie — rzekł spoglądając po stojących.

Ludziom osiwiiałym w boju, nie bardzo się takie wyciąganie węzła z pod stopy królewskiej podobało, niezbyt więc gorliwie nakłaniali karku. Gdy jednak ten i ów spojrział na oblicze królewskie, po którym groźna przemknęła chmura, schylali się jeden po drugim i wraz z młodymi brali za wyciągając koniec uzdy.

— Los doskonale rozstrzygnął — wołał Karobert — ujrzawszy uzdy z węzłami w rękach młodych i pełnych zapалу rycerzy. — Starsi odpoczną, Góra zaś, Korasz, Szenań, i Tepel pójdą ze mną.

Czterej młodzi ludzie skłonili głowę na znak uszanowania, a los który padł na nich, musiał im zrobić przyjemność, bo na ich twarzach znać było widoczne zadowolenie. Wprędce też byli gotowi do drogi, czekali tylko rozkazu monarchy.

Karobert spoglądał jeszcze na wierzchołki, potem rzucił okiem na konie, jakby się namyślał czy pieszo lub konno ma odbyć tę podróż.

Chwila więc była milczenia, ale chwila nader krótka, bo Karobert nie lubił długo się namyślać.

— Hej, Kosza — zawołał — daj mi toporek, miecza nam nie brać, boć zacięży w pieszej wyprawie. Nie będzie nam potrzebnym do walki, ale zarosła widzę są nieszpetyne, wypadnie więc torować sobie drogę. Trzeba nam tu szukać owej strzały — rzekł jakby do siebie, a potem dodał:

— Kosza, naprzód podążaj, waszmościów proszę za sobą.

To mówiąc, szedł ku górcom i wkrótce zaczęli wstępować na pochyłość tej, na którą strzałę wyrzucił.

Góry nie były strome ani też bardzo wyniosłe, ta tylko jedna wynosiła nieco wierzchołek nad inne, jak gdyby chciała nad niemi panować!

Droga nie była uciążliwa, toporki jednak się przydały, zarosła bowiem pokrywała ją gęste, wśród których tu i owdzie wila się nieco wydeptana ścieżka.

Wkrótce też dostali się na szczyt najwyższej góry, jakież jednak było zdziwienie Karoberta i jego dworzan, gdy znaleźli tam maleńką lepiankę, jak ptasie gniazdo przyczepioną do skalistego szczytu.

(d. c. n.)

List Józia.

Obie siostry moje obdarzane są liścikami czytelników, ja nie odebrałem ani jednego. Przykro mi to, nawet miłość własna moja cierpi na tak jawnie mi okazywanym braku sympatyj, a szczerze chciałbym ją pozyskać u moich kolegów. Tyle jest przecie kwestyj, które nas, mających już początki nauk,

wspólnie zaciekawiają i o których radbym z wami pomówić, bo ja zapalam się łatwo: każdy nowy wynalazek, nowe odkrycie, budzi we mnie podziw i uwielbienie dla potęgi rozumu ludzkiego, dla tej przedsiębiorczości, którą się wiek nasz odznacza, a której najsmielsze zamysły urzeczywistniać pozwala postęp nauki, coraz to jaśniej wnioskującej w tajniki przyrody. Ile to rzeczy na pozór niepodobnych do wykonania, jest już dzisiaj faktem spełnionym! rzeczy, które pradziadom naszym ani się śniły! Takie na przykład przekopanie międzymorza Suez, za baśń, za nieprawdopodobieństwo poczytanemby było lat temu ze sto pięćdziesiąt. A teraz oto projektowane połączenie morza Północnego z Bałtyckiem, za pomocą kanału, który przecinając dawny półwysep Cymbryjski, skróci drogę między portami obu mórz i pozwoli statkom uniknąć niebezpiecznej zawsze żeglugi przez wody Skagerraku i Kattegatu. Czy to także nie jeden z większych tryumfów odniesionych przez myśl nad materją?

Cioteczny mój brat świeżo, dyplomowany inżynier, opowiadał mi właśnie parę dni temu z wielkim zapałem i przejęciem, z jakimi trudnościami połączone jest kopanie kanału, przerywającego w niektórych miejscach płaszczyny tak bagniste, że odkąd rozpoczęto roboty, parę razy zdarzył się wypadek, iż całe usypane już groble z szynami i wagonami prowadzącymi materiał budowlany, zapadały się w ziemię. W miejscach, gdzie kanał spotyka moczary lub wodę, inżynierowie używają do pomocy przyrządów noszących nazwę „bagerów:“ jest to niby rodzaj statku, zaopatrzonego w rurę wiszącą lub pływającą, która ssie ziemię rozcieńczoną wodą i przenosząc ją w inne miejsca, tworzy z niej wzgórze. Oprócz tego, specjalnie na ten cel urządzone wagony, wywożą dziennie wybraną już ziemię, której jest tyle, że według obliczeń inżynierów wystarczyłoby jej na pobudowanie nasypu kolejowego, wysokiego na 2 metry, od Madrytu do Ekaterynenburga.

Dzień i noc pracują robotnicy nad kanałem, który ma być ukończony w r. 1895; jest ich tu około 6,000, wzniesiono więc dla nich tymczasowe mieszkania, duchowni wszystkich wyznań odprawiają dla nich nabożeństwa w niedziele i święta, a przy pracy nocnej przyświecają im słońca elektryczne, także jeden z cudownych wynalazków naszego wieku.

A kiedy o cudowności mowa, to zaraz nastęrcza mi się pod pióro nazwisko rachmistrza, który wprowadza teraz w podziw cały Paryż, — Jakóba Inaudi. Rozmaite instytucje uczone poddają go próbom i egzaminom, a on ze wszystkich wychodzi zwycięsko i nie było przykładu, żeby zagadnienia nie rozwiązał, lub pomylił się w obliczeniach dokonywanych na pamięć. Ma on obecnie lat 24; w dzieciństwie pasał kozy, siódmy rok mając puścił się ze świszczem na wędrowną i pokazywaniem sztuk zwierzątka zarabiał na życie, aż wreszcie dotarł do Paryża, nie umiejąc naturalnie czytać ani pisać. Już podczas owej wędrownki zaczęła się w nim objawiać niezwykła zdolność do rachunków: osobiwą bowiem przyjemność znajdował w liczeniu wszystkiego na co spojrział i sam o sobie opowiada, że przechodząc raz przez miasteczko w dzień jarmarku, wstąpił do zajazdu i zastał tam handlarza koni, nie mogącego sobie dać rady z obliczeniem pieniędzy zebranych za towar. Ofiarował mu Inaudi swą pomoc; handlarz przyjął ją z niedowierzaniem, odgrając się, że chłopcu uszy oberwie, jeżeli się ten z zadania nie wywiąże, w przeciwnym zaś razie da mu 10 susów. Malec dobrze zrobił rachunek, dostał obiecane pieniądze, a nawet i coś więcej, bo się na niego złożyli obecni, i wtedy to powziął myśl ciągnięcia zysków ze swych zdolności. W Paryżu sprzyjało mu powodzenie, to zaś szczególnież wszystkich zdumiewało, że rozmawiając o czem innym, rozwiązywał w przeciągu kilku minut tak trudne zadanie, jak wyciąganie pierwiastku kwadratowego z liczby dwunastocyfrowej.

W Akademii paryskiej inną znów odbył próbę, rozwiązując jednocześnie dwa zagadnienia. Jedno z nich polegało na podniesieniu do kwadratu liczby 4,800, drugie na wymiennieniu, jaki dzień tygodnia przypadał 11 marca 1822 roku. Na oba pytania trafnie odpowiedział Inaudi, a odpowiadał z zadziwiającą szybkością, bo w przeciągu sześciu sekund do-

dał iloczyn powstały z pomnożenia przez siebie dwóch liczb 869 i 427. Astronom Flammarion, który go zna od dzieciństwa i czynił nad nim spostrzeżenia, objaśnia wprawdzie sposoby jakimi się Inaudi posługuje przy swoich rachunkach, ale żeby się temi sposobami posługiwać, musiał sam je sobie wynaleźć, sam na nie trafić i to mnie właśnie w podziw wprawiła. Iluż to bowiem dzieciom poddaje się gotowe różne ułatwienia i kombinacje, a wszystko na nic — istny groch o ścianę! Wiem ja coś o tem, bo dając korepetycje nieraz miałem sposobność ćwiczyć się w cierpliwości... No! niema co mówić, piękna to cnota! ale ja nie jestem Gołąbką!

Może też dla tego tak nie mam szczęścia do was, kochani czytelnicy starsi i młodszy. Żeby choć jeden liścik! czy się też to zmieni czy nie? W każdym razie szczerem sercem sprzyja wam zawsze.

Józio.

BALONEM DO BIEGUNA.

PRZEZ

WŁ. UMIŃSKIEGO.

(Dalszy ciąg).



o dobrze; przypuścimy, że oblecieliśmy bieguna po 80-tym równoleżniku; obwód jego wynosi mniej więcej 4200 kilometrów; podróż więc nasza nie jest znów tak imponującą; robiliśmy przecięciowo na godzinę 90 kilometrów; dla okrążenia równika potrzebowalibyśmy przy tej samej szybkości, ośm-nastu dni.

— Ech, to jeszcze nic — wtrącił, uśmiechając się sternik — dotrzyjmy do bieguna, a podejmuję się tysiąc razy prędzej, aniżeli nasz aerostat odbyć podróż naokoło świata.

— Wierzę temu: wtedy obej-

dziesz go sobie w pięć minut — rzekł Ford.

— To za długo; stanę sobie poprostu na tem miejscu, w którym podług obliczeń twoich, kapitanie, będzie leżał koniec osi ziemskiej, i obrócę się na pięcie. Ot i podróż na około świata!

X.

W A L K A.

Jakaś nieprzewyciężona, uparta potęga zdaje się ciągnąć aerostat ku nieprzejrzanym równinom lodowym; nasi żeglarze z goryczą i zwątpieniem w sercu patrzą na rosnące im w oczach góry, rozsiane tu i owdzie po śniegu; za pięć minut łódka zaryje się w nim głęboko i wszystko się skończy...

Południowy wicher, z którym od doby boryka się machina, szumi wciąż swą złowrogą pieśń w linach aerostatu; jego technienie mrozi krew i zapal w piersiach naszych bohaterów. Dżems powiada, że to „dyabeł lodowy użył ostatniego swego środka, aby nie dopuścić aerostatu do bieguna”. Śruba walczy jednak ciągle; jej głuche warczenie mięsza się z poświstami wiatru: benzyny oddawna już niema, generator więc pożera wciąż gaz; balon też traci siły z każdą chwilą; nie ustępuje, co prawda, ani na krok w tył, lecz powoli zniża się.

— Przekleństwo, utkniemy o sto dwadzieścia kilometrów od celu! — zawołał Ford, zaciskając pięści — czy nie już niema do wyrzucenia?

Milczenie. Mózgi jego towarzyszy gnębiło oddawna to pytanie: pozbyto się już rezerwoaru od benzyny, ławeczki, połowy wody z kondensatora i kilku narzędzi. Trudno było znaleźć jeszcze coś niepotrzebnego.

— Wino! — wykrzyknął nagle Gromski.

— Prawda, wino! — powtórzył kapitan — pragnienie nie grozi nam przecie wpośród lodów i śniegów.

Sternik pospiesznie wydobyl blaszankę i wyrzucił ją za poręcz.

— Dwadzieścia kilogramów; mamy więc tyleż metrów kubicznych wodoru — rzekł Gromski — to nam wystarczy na piętnaście minut.

Na piętnaście minut, a potem?

Inżynier, jak również i kapitan żywili nadzieję, że przekłety wicher, zrodzony gdzieś wśród lodów, otaczających biegun, ucichnie wreszcie.

Czy jednak ucichnie? Aerostat od doby już toczy z nim walkę; zaczęła się ona zaraz po wyjściu z owej pamiętnej zasłony mglistej, poza którą ukrył się biegun, zazdrosny o swe tajemnice.

Przez całe dwadzieścia godzin nasi żeglarze płynęli o 2,000 metrów ponad ziemią, radząc się ustawicznie słońca! Aerostat, podług codziennych wskazówek locha powietrznego, posiadał prędkość 8 metrów na sekundę; Gromski spodziewał się, iż tak jadąc, w przeciągu doby dotrze do upragnionego celu.

Lecz „dyabeł lodowy” istota, której Dżems przypisywał zwykle wszystkie niepowodzenia, żartował sobie z balonu i jego załogi. Kapitan bowiem, oznaczywszy dnia 3 w południe położenie geograficzne, przekonał się z trwogą, iż aerostat w przeciągu dwudziestu godzin, zamiast o sześćset, posunął się naprzód zaledwie o trzysta czterdzieści kilometrów. Zagadkę rozwiązano z łatwością. W górnych warstwach atmosfery panował zimny prąd południowy; cykularny prąd, oddawszy swe ciepło lodom biegunowym, przepadł bez śladu. Daremnie nasi żeglarze szukali go na rozmaitych wysokościach; wszędzie napotykali ten sam lodowaty wicher, wysłany, jak wciąż zapewniał Dżems, przez „dyabła lodowego” dla odparcia aerostatu. Dwieście sześćdziesiąt kilometrów oddzielało wtedy naszych żeglarzy od zakłętą bieguna; tylko dwieście sześćdziesiąt! Gromski nie wahał się ani chwili; otworzył kurki od benzyny, odsunął szyber i wypuścił aerostat naprzeciw wiatru całą siłą pary. Walka zaczęła się.

Drogocenna benzyna wyczerpała się jednak po przebyciu 120 kilometrów; gdy rezerwoary osuszyły się zupełnie, poczęto palić wodór — tę „duszę aerostatu” jak się wyrażał Gromski.

Od kilku godzin naszych żeglarzy trawiła gorączka; inżynier co trzydzieści minut rzucał loch, aby przekonać się, czy machina pracuje z jednakowem napięciem. Dżems, wychylony za poręcz u przodu łódki, śledził uciekające w dal skały, mierząc w ten sposób praktycznie szybkość balonu. Liczono, dodawano skrupulatnie kilometr do kilometra. Ford z zaciśniętymi wargami, niewzruszony, trzymał sznurki od steru i patrzył na horyzont, jak gdyby lada chwila spodziewał się ujrzeć na nim ów tajemniczy punkt przecinania się południków, który był mu celem życia.

Balon, pozbawiony gazu przez machinę, zniżał się ciągle — zdawało się, iż zmęczony długą walką, pragnie spocząć na miękkim śniegu wśród tej równiny, ciągnącej się do nieskończoności. Kilka razy już, już miał zaryć się w zaspach, lecz wyrzucenie jakiegoś przedmiotu dodawało mu energii. Wtedy podrywał się żywo i mknął dalej, jak koń ukłuty ostrogą.

W piętnaście minut po pozbyciu się baryłki z winem, balon znów opadł tak, iż zawadziłby o skały, gdyby Ford nie skierował go w bok zręcznym ruchem steru.

Gromski, siadłszy na machinie, bacznie rozglądał się dokoła, szukając oczyma jakiego zbytecznego ciężaru; łódka wszakże była już zupełnie prawie pustą; oderwano nawet pałki, na których sternik rozwieszał płótno po obu stronach



RADUJCIE SIĘ!

Już na Kalwaryi spełniona ofiara!
Anioł odwalił grobowy głaz!
Pan wznosił się!... pierchnął cień błędów, zmaz,
I potępionych skończona kara.

Chwała, o chwała na wysokości
Temu, co zwalczył piekielną moc,

Który promieniem wiecznej światłości
Rozwidnił ducha ludzkiego noc!

Radujcie się, radujcie!
Zbawiciel pośród was gości!
Przy waszych stołach miejsce Mu gotujcie,
Dzieląc się chlebem miłości.

Ewa Maryja,

platformy; cała zastawa, prócz jednego kubka blaszanego, noża i widelca, odawna leżała już gdzieś wpośród śniegu.

— Sto kilometrów tylko! — rzekł Ford, zrywając się — za dwie godziny ujrzymy bieguna; wyrzuc pan pudełko z konserwami owocowymi, które waży conajmniej 15 kilogramów.

— Masz rację, kapitanie, obejdziemy się bez nich; zostanie nam pekeflejsz i wędlina, a tego wystarczy na sześć tygodni.

Dżems nie namyślał się; spiżarnia stała otworem; podszedł do niej i z zimną krwią wydobyl puszkę.

— Pekeflejsz leży w baryłce dosyć ciężkiej — rzekł — czy nie możnaby więc przełożyć go do puszkii?

— Wyborny pomysł! — zawołał Ford — tym sposobem ulżymy sobie o siedm kilogramów.

Sternik w mgnieniu oka wypróżnił puszkę; niebawem też baryłka z trzaskiem rozleciała się, uderzywszy o olbrzymi kamień, ponad którym przelatował aerostat.

— No, ale na tem koniec — rzekł Gromski — teraz musimy chyba odciąć łódkę, lub wyskoczyć z niej.

— Jeżeli przyjdzie do tej ostateczności, będę pierwszym — rzekł poważnie sternik — tymczasem jednak posuwajmy się naprzód, póki można.

— Czy nie lepiej zaczekać na zmianę wiatru? — zagadnął Gromski.

— Czekać o sto kilometrów od bieguna! — oburzył się kapitan — wolałbym iść piechotą, inżynierze.

— I ja — dodał James stanowczo — zresztą gdyby nam starczyło nawet cierpliwości, to próżno byśmy tylko czas marnowali; to nie zwyczajny wiatr, proszę pana.

Ostatnie słowa wymówił poczciwy sternik z tajemniczą miną i półgłosem. Długie a często bezowocne walki z potęgami przyrody podbiegunowej uczyniły go zabobonnym.

— Nie możemy się cofnąć ani na krok jeden — mówił dalej tym samym tonem; inaczej wichry zamieniłyby się odrazu w orkan śnieżny i wszystkoby przepadło. Ot, zajedziemy jakoś.

O godzinie 1-iej, podług skrupulatnych obliczeń Forda, osiemdziesiąt kilometrów zaledwie oddzielało aerostat od bieguna. Statek powietrzny dobywał resztek sił; jego jedwabne ciało, wciąż pozbawiane gazu, chudło jakby, kurczyło się w liczne fałdy, płaszczyło w podmuchach lodowatego wiatru, machina odżywiana coraz słabszym strumieniem wodoru, nie luczwała już tak rażno, jak z początku podróży; skrzydła śruby nie uderzały z dawną energią o powietrze: jednym słowem balon „zmęczył się,” jak powiadał James. Czy zdoła przebieść to marne osmdziesiąt kilometrów? Gromski, rozglądając się po pustej łódce, powątpiewał o tem.

— Za dziesięć minut osiadziemy na mieliźnie — rzekł James, wychylając się za poręcz — co wyrzucić, kapitanie?

— Wszystko co chcesz — odparł krótko Ford.

— Nic już niema.

— Wędlina. Spiesz się.

— Pozostanie nam tylko pekeflejsz i wódka.

— To dosyć. Za trzy tygodnie aerostat straci gaz; jeżeli po upływie tego czasu nie powrócimy, to żywność nas nie ocali.

Był to ostatni środek ulżenia balonowi, prawdziwie heroiczny; kapitan jednak nie zastanawiał się nad niczem, niebezpieczeństwa nie istniały dlań wcale.

Inżynier patrząc w błyszczące gorączkowym ogniem oczy dzielnego marynarza, zrozumiał, iż nie cofnie się on przed żadną ofiarą, byle dotrzeć do upragnionego celu. Niestety, nawet żelazna wola i niewyczerpana energia nie złamie fizycznej konieczności; aerostat musiał prędzej czy później ledz bezwładnie na śniegu; poświęcenia ze strony jego załogi spóźniały tylko tę chwilę.

Ford wiedział o tem doskonale, a jednak nie zniechęcał się; widocznie w głowie jego zrodziła się myśl jakaś, gdyż od czasu do czasu rzucił badawcze spojrzenia poza siebie, jakby szukając czegoś oczyma. Kilka razy wypuszczał sznurki od steru i znów je chwycił palcami niezdecydowany.

— Pora zatrzymać machinę, jeżeli nie chcemy rozbić się o który z tych wystających głazów — rzekł Gromski.

— Sześćdziesiąt pięć kilometrów — westchnął James — trudno będzie dojść piechotą do bieguna po tych śniegach i lodach.

(d. c. n.)

NOCNA PRZYGODA.

— Już Wojciech zajechał, kasztanki się niecierpliwiają. Ojczy, prawda, że już jechać powinniśmy, a Kazio nie może się wybrać; chodzi z pokoju do pokoju i zdaje mi się, że ma ochotę płakać.

Tak wołał Romcio, nasuwając na uszy granatową czapkę, podarek imieninowy siostry, w którym było mu bardzo do twarzy.

— No, Kazimierzu, odwaga zdobi młodzieńca, pocałuj rodziców i jedźmy już raz, bo doprawdy cierpliwości mi zbraknie.

— Bo ja też ciągle powtarzam, że powinienes iść spać, a nie jeździć po nocy. Bez opieki takiego zucha Kazio i Wojciech się obejdą, a teraz nie nudź, pozwól nam się jeszcze Kaziem nacieszyć — mówiła Anielka.

Żal jej było każdej chwili, którą z wyjeżdżającym do Warszawy bratem spędzić jeszcze miała.

— O, rozczulaj się, rozczulaj, z twojej łaski spóźniły się na kolej. Ładnie będzie, jak przyjedziemy na stacyą po trzecim dzwonku. Pociąg pojechał, a pan Kazimierz wraca do Wólki niespodzianie, bo się za długo żegnał z Anielcią. Już ja to widzę, że tak będzie. O, jak ja do gimnazjum odjeżdżać będę, to nie będę zważał na siostrzane czułości. Powiem: bądź panienko zdrowa! raz, dwa, trzy i już wózek się potoczy.

— A teraz Anielciu, jeżeli masz mi co jeszcze powiedzieć, to pisz do mnie na Berdyczów.

Anielcia ruszyła ramionami.

— Oj wiemy, wiemy, że niepospolity zuch z ciebie, a osobliwie w mowie i przy pełnym talerzu, — i nie słuchając dłużej poszła za starszym bratem do izby czeladnej, gdzie go wszyscy błogosławili na drogę.

Wtem zegar wybił dziesiątą.

— Teraz czas już na mnie — rzekł smutnie Kazio i, ucałowawszy raz jeszcze kolana rodziców, uściskał Anielkę i wskoczył do wózka. Obok Wojciecha na koźle dawno już siedział Romcio.

— Zawsze to nieprzyjemnie, że oni tak późno w nocy jadą — rzekła matka — i choć mi przykro z Kaziem się rozstawać, byłabym go chętnie wcześniej wyprawiała.

— Nie ma się czego obawiać — uspokajał ojciec — droga równiuteczka, a Wojciech przecież powozi bardzo dobrze i jest nam życzliwy.

Oboje rodzice pozostali jeszcze chwilę na ganku, słuchając, jak się turkot oddalał. Anielcia obcierała łzy, których powstrzymać nie mogła i wszyscy smutni tem rozstaniem, powrócili do domu.

Kazio już nie pierwszy raz z domu rodziców do Warszawy odjeżdżał, a choć był jednym z najpilniejszych uczniów w swej klasie, chociaż był w przyjaźni z kolegami i bardzo był lubiony przez profesora, u którego stał na stancy, jednak chwila pożegnania z rodzicami i rodzeństwem była mu zawsze przykrą. Romcio zaś tak był dumny, że mu pozwolono, mimo ciemnej nocy odprowadzić brata na kolej, że cały przejęty tym dowodem dojrzałości, zapomniał o tem, że dopiero za parę miesięcy go zobaczy i podczas, gdy Kazio milcząc starał się zapanować nad swem wzruszeniem, Romcio wywijał batem i wio, wio, wołał na konie.

— Czego tak panicz z miejsca pośpiesza — rzekł Wojciech — to nie dobrze, konie się zmęczą.

— Ej, co wy wiecie. Lepiej niech się trochę zgrzeją, niż żeby jutro tę samą drogę odbywać miały. Na zegarku nie znacie się, co, prawda? A widzicie Wojciechu! Cóż wy

mi powiecie, kiedy ja się znam i mówię, że już wielki czas na kolej.

— Bo to, widzi panicz, ciemno jest. Moglibyśmy najechać na kamień i jakby się co, bron Boże, w wózku popsuło, to jeszcze później dojechalibyśmy.

— Jak wy się wszystkiego obawiacie, to prawdziwie tchórzliwa natura. Tylko mnie słuchajcie. Naprzód, śmiało, a wszystko będzie jak najlepiej.

I śmigał zawzięcie, chociaż kasztanki i tak już biegly szybko po twardym gościńcu. Wrześniowa ta noc chłodna była i ciemna. Niebo pokryte było ciężkimi chmurami, ani jedna gwiazdka nie świeciła naszym podróżnym, a szczególnie gdy wjechali w las gęsty, nie mogli już nawet dojrzeć drogi. Znając ją jednak, dobrze wiedzieli, że równa i szeroka prowadziła ich teraz pod górę. Wiatr jesienny szumiął ponuro. Milczenie przerywało tylko gwizdanie Romcia.

— Jak też to wesoło jechać z paniczami — ozwał się Wojciech — ale tak samemu o tej porze, w lesie toby się okrutnie przykrzyło.

— Cóż to, kompanii wam trzeba? — zawołał Romcio.

— A juźcić panicz. Czyż bo to jednemu na gościńcu w nocy coś się złego przytrafiło! Włóczę się rozmaici ludziska, a nuż który zaczepi. A choć człowiek nie taki niezdrara, żeby się dać lada komu, przecież wolę zawsze jeździć dniami niż nocą.

Romcio rozśmiał się głośno.

— Oj tchórz, tchórz z Wojciecha, aż brzydko takie rzeczy mówić. Jabyń się nie bał całą noc jechać przez las, przez puste pole, ba nawet i koło cmentarza.

— Ej, tak się paniczowi tylko zdaje, a jakby do czego przyszło, kto wie jakby było.

— Jaki ten Wojciech niemądry — mruknął Romcio obrażony tem powątpiewaniem. — Czy to ja wyglądam na mazgaja? Możeby mnie się bali, ale ja nie bałbym się na pewno — znów mocno i zamasyście batem klasnął, poprawiając czapkę.

— Ale ty Kaziu bałbyś się pewno, bo jesteścieple piwko.

Kazio nie był w tej chwili usposobiony do wesołej rozmowy; myślał jeszcze o ostatnich poleceniach ojca, czuł gorący uścisk matki, słyszał pożegnania Anielci. Przebiegał myślą wszystkie kąty kochanego, rodzicielskiego domku, odpowiedział jednak na zapytanie brata.

— Nie mówiłbym prawdy, gdybym cię Romciu zapewnił, że byłoby mi przyjemnie znaleźć się w nocy samemu w tym lesie. Ja trzymam z Wojciechem. Wolę jeździć w dzień lub w towarzystwie. Jednak gdyby było tego potrzeba, to pojechałbym bez przykrości i w nocy.

— A ja z przyjemnością, z największą przyjemnością, żeby wam wszystkim pokazać, jak to zuchy robią.

— Trzebaby to widzieć, żeby wierzyć — rzekł powątpiewająco Kazio, a Wojciech uśmiechnął się złośliwie, ale na szczęście było ciemno, więc Romcio tego nie dojrzał.

Widząc, że mu już nikt nie przeczy, znów zajął się końmi, które szły szybko, wesoło parskając i krzesząc podkowami iskry z drobnych tłuczonych kamieni, którymi gościniec był świeżo wysypyany.

Nagle Wojciech zawołał: Paniczu, paniczu, co to jest przed nami!?

Chłopcy spojrzeli. Wprost naprzeciw nich, zdaleka na górce, pojawiły się jakieś czerwone światelka.

— Co to jest? — zawołał Romcio drżącym głosem.

— Nie mam pojęcia — odrzekł o wiele spokojniej Kazio, i stanąwszy na wózku, zaczął się pilnie przyglądać zjawisku. Światelka zbliżały się wyraźnie, ale dziwnym jakimś biegiem, jakby ścigając się i podskakując po drodze. W fantastycznym pędzie wymijając się, coraz wyraźniej ku naszym podróżnym zmierzały.

— Wszelki duch Pana Boga chwali! — przeżegnał się Wojciech — tu się paniczu coś złego święci, to jakieś strachy. Możeby najlepiej było zawrócić do lasu.

Kazio rękę położył na ramieniu Wojciecha.

— Co mówicie, Wojciechu, któż by znów uciekał. Ja wprawdzie nie wiem, co się to dzieje, ale nie widzę też żeby to spotkanie nam czem groziło. Strachów o jakich myślicie nie ma na świecie. Nie są też to złodzieje, bo nie dawaliby znać o sobie świecąc z daleka. Więc tylko trzymajcie mocno konie, żeby się nie spłoszyły, bo z tem mogłaby być bieda, i patrzmy bez strachu co to będzie.

Wojciech uspokojony rozsądnem odezwaniami się Kazia, silnie ściągnął lejce. W tej właśnie chwili, przestraszone konie strzygąc uszami, w bok odskoczyły.

Światelka były tuż przed nimi, i wkrótce otoczyły wózek, konie i podróżnych. Równocześnie lekki szelst dał się słyszeć na drodze i przerażone oczy Wojciecha, a zdumione Kazia ujrzaly na czarnym tle otaczających jodeł, jakieś dziwne wielkie postacie, ciemno sterczące ku górze; każda z nich z szybkością błyskawicy posuwała się na olbrzymim, kręcącym się kole, u którego jaśniało i migotało jakieś niezwykle światło.

— O la Boga! — jęczał cicho Wojciech, ale odważnie patrzył na straszne zjawisko i mocno trzymał zrywające się konie. Kazio jakiś czas w milczeniu i spokojnie przyglądał się znikającym szybko w cieniach nocnych strazydłom. W końcu dźwięczny jego głos wesoło zabrzmiał wśród ponurej ciszy:

— Och, Wojciechu, że też ja odrazu nie poznałem! jaki cymbał me mnie i niedołęga! Wszak to cykliści przejechali, z latarkami przytwardzonymi do swych wózków — i rozśmiał się serdecznie. Ale Wojciech nie mógł zrozumieć tego okropnego na pozór zjawiska, więc Kazio jął mu tłumaczyć, jak to wymyślono na świecie tak zwane bicykle, na których ludzie, nie mając koni, równie szybko po równej drodze mogą przejeżdżać, jak on ich nieraz w Warszawie widział i nawet żałował, że sam tak wygodnego ekwipażu nie ma. Wojciech był uszczęśliwiony, że rozum ludzki zdolny jest tworzyć takie nadzwyczajne rzeczy i popędziwszy konie, robił filozoficzne uwagi nad tem, że strachów na świecie nie ma i niczego bać się nie potrzeba.

Wtem obaj z przerażeniem spostrzegli, że Romcia nie ma na koźle. Co się z nim działo, gdzie i kiedy się podziało, nie wiedzieli, nie zwracali bowiem uwagi na niego w chwili, gdy ich zajął niezwykle widok. A tymczasem już kawalek ujechali od miejsca pojawienia się latarek cykliстів.

Kazio kazał natychmiast zawrócić. Rozglądali się obaj w około, ale noc ta nieszczęściem była tak ciemna, że o parę kroków już nic widać nie było, a na ich wołania tylko echo z daleka przeciągle odpowiadało. Kazio zszedł z wózka. Teraz naprawdę przejęła go trwoga: ten roztrzepany brat, może spadł z wózka na kamienie, może gdzie leży nieprzytomny na drodze, nawet cykliści mogli byli pokaleczyć, nie spodziewając się na drodze takiej przeszkody.

— Romciu! bracie! — wołał co parę kroków, ale na próżno; już doszedł do tego miejsca, gdzie raz ostatni mówił do nich; nigdzie go nie było. Kazio wszedł w las, przechodził od krzaku do krzaku, potykając się co chwila o pnie i korzenie, których dojrzeć nie mógł, a tak jego, jak i Wojciecha poszukiwania były bezskuteczne. Gdzież bo znaleźć w głębokim lesie, w noc pochmurną zaginionego chłopca? Czas jednak uciekał. Już od wschodu niebo zaczęło się robić jaśniejsze i coraz wyraźniej można było rozróżnić otaczające ich przedmioty.

— Wojciechu — zawołał nagle Kazio — co tam w rowie jest czarnego, tam koło mostu, widzicie? na prawo! — i obaj poskoczyli na wskazane miejsce, gdzie jakiś przedmiot ciemny poruszał się nieznacznie.

— Romciu, czy to ty? co tobie?! — wołał Kazio, lecz Romcio patrzył na niego wielkimi wystraszonemi oczyma.

— Czy już ich niema? — szepnął — czy poszły sobie te strachy? Kaziu, czy nic tobie złego nie zrobili? — pytał niepewnym głosem i stanął, choć nogi pod nim drżały nieco.

— Nikogo niema i nam nic złego się nie stało — odrzekł Kazio, domyślając się z jakiego powodu Romcio tak

ZAGADKA W KWADRACIE.

przez Ewę Maryę.

Czytaj głoski, od lewej zaczawszy ręki,
Wprost, skośnie na dół, do góry;
Znajdziesz tę świętą, co koi męki,
Rozjaśnia życia chmurę;
Ona w sieroctwie, świata zawierusze
Ku niebu wznosi serca i dusze.

```

* . . . *
. * . * .
. . * . .
. * . * .
* . . . *
    
```

ŁAMIGŁÓWKA SYLABOWA.

Fiołek parm. i Konwalia ogrod. dla kochanej i szanownej
Redakcyi.

Z następujących sylab: Ad — a — ba — bar — cy — cya — e — e — ford — dal — di — fen — gran — i — li — ku — krzew — lis — la — ma — mi — mizm — mi — nan — ne — new — o — ox — rał — rał — row — ro — sla — sto — tas — ses — u — wa — york — u — u — łożyc wyrazy, których znaczenie: 1. Cieśnina w Ameryce pół. 2. Nazwa motyla krajowego. 3. Masa wulkaniczna. 4. Miasto w Anglii słynne uniwersytetem. 5. Miasto we Francyi znane z pobytu Stanisława Leszczyńskiego. 6. Starożytna nazwa rzeki w Grecyi. 7. Ciało nieorganiczne. 8. Kraj położony na wschodnich brzegach morza Adrytyckiego. 9. Roślina, której liści w Ameryce pół. używają zamiast herbaty. 10. Port nad morzem Czarnem. 11. Nazwa pewnej religii. 12. Tytuł honorowy turecki. 13. Bohater z wojny trojańskiej. 15. Najludniejsze miasto w Ameryce. 16. Mahometanskie imię oznaczające przytem pewną godność. Początkowe litery tych wyrazów czytane z góry na dół, utworzą tytuł powieści a końcowe w tym samym kierunku imię i nazwisko jej autora.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 15-go.

Logogryfu: Kolej.

Łamigłówek monogramowej:

1. Koran. 2. Kiel. 3. Morea. 4. Korea. 5. Orasi. 6. Oka. 7. Miako. 8. Lima. 9. Omsk. 10. Siak. 11. Salor. 12. Sale. 13. Keos. 14. Los. 15. Kano. 16. Karim. 17. Smak. 18. Mak. 19. Kra. 20. Kosa. 21. Morela. 22. Osa. 23. Lis. 24. Miska. 25. Iskra. 26. Rok. 27. Las. 28. Smok. 29. Mrok. 30. Sok. 31. Mir. 32. Slimak. 33. Kos.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do téj ceny półroczna i kwartalna.

Biuro Redakcyi, ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.

TREŚĆ: Chrystus wiersz (z drzew.) — Złotnik królewski, obrazek z XIV w., p. Z. Morawską. — List Józia. — Balonem do bieguna p. Wł. Umińskiego. — Zmartwychwstanie, wiersz (z drzew.) — Nocna przygoda. — Łamigłówki i rozwiązania. **Dodatek:** Pierwszy kwiatek wiersz (z drzew.) — Alleluja wszystkim radość. — Odwaga i zuchwalstwo, p. M. P. — Skrzynka do listów. **Dodatek książkowy** Wśród puszczy meksykańskich.

WIECZORY RODZINNE.



PIERWSZY KWIATEK.

— Matulu, zerwałam kwiatek,
Bieluchny jako opłatek,
Tu w lesie, zaraz za chatą,
Gdzie drzewo w stos składa tato:
A co ja zrobię z tym kwiatem?
O Boże! rozkwitł jak latem,
Choć ziemia w krąg jeszcze szara,
Patrz, niby gołąbków para
Wiszą prześliczne bąbelki!
— Niech Stwórcę chwali duch wszelki,
I wszelkie ziemne stworzenie,
Co swe opuszcza więzienie!
Idź do ogrodu, córuchno
Uszczknij gałązkę świeżuchną,

Zwiąż w pęczek z tym kwiatkiem razem,
I zatknij go za obrazem:
Bóg zsyła nam wiosny dary,
My jemu nieśmy ofiary.

Romania Kamieńska.

ALLELUJA! WSZYSTKIM RADOŚĆ!

Był to dzień Wielkiej Soboty. Gromadka dzieci bawiła się cicho, najstarszy z tego grona, Oleś, który już od trzech lat nosił mundurek gimnazjalny, zajęty był

jakimś rysunkiem; trzynastoletnia Józia dopomagała małej swej siostrzyczce Madzi w uporzędkowaniu zabawek i wykończeniu świątecznego stroju dla całego szeregu lalek. Niezbyt ją bawiło to zajęcie, ale robiła z siebie ofiarę, bo Madzia już płakać zaczynała, że na Wielkanoc jej gospodarstwo nie będzie gotowe.

Dziesięcioletni Romuś siedział oparty na rękach głowę, i zamyślił się strasznie. Biedny chłopczyk już od trzech dni, t. j. od chwili uwolnienia od lekcyj, nie dotknął książek ni żadnej zabawki. Liczył tylko godziny do dnia Wielkiejnocy.

Wtem wbiegła najstarsza siostrzyczka. W białym fartuszkach, z założonymi rękawami, cała zarumieniona, powiedziała, że mama pozwoliła jej upiec samej mazurek, i że ten będzie jej własnością, ale ponieważ niewiele już czasu pozostawało, więc prosiła żeby które z ro-

dzeństwa dopomogło jej w łuskaniu migdałów i obieraniu rodzenków.

— Ach! weź Karolka, bo tu tak wzdycha z nudów że na zdrowie mu będzie jakiegobądź zajęcie! — zawołał Oleś. Patrząc na rodzynki, może sobie wyobrazić, że to już Wielkanoc, której tak oczekuje.

— Zawsze mi dokuczasz — odrzekł płacząco Karolek — co mi tam rodzynki, ja chcę żeby już była Wielkanoc!

— Gniewa mnie naprawdę takie nierozsądne pragnienie! — powiedz mi proszę, czym Wielkanoc różni się od wszystkich innych świąt? Naturalnie, powinno się obchodzić ją uroczysto, jako pamiątkę Zmartwychwstania; ale przecie to jeszcze nie powód, żeby tak dziecinnie cieszyć się jak Karol, który zapewne ani myśli o uroczystościach kościelnych.

— Otóż widzisz że myślę, bo byłem w kościele i modliłem się — odparł chłopczyk — ale to prawda że jakoś się tak cieszę zawsze z Wielkanocy, sam nie wiem czemu. A czy to ja jeden? Wszyscy weseli w ten dzień; i Mania, i Zosia; a Kasia, Marynia, Grześ, jak się cieszą!

— Dzieciństwo — mruknął Oleś.

— Otóż wiesz braciszku — rzekła poważnie Zosia — wiesz, ja nie myślę żeby to było dzieciństwo. Przecież nie tylko dzieci i służący się cieszą ze święta; starsi, rozumni, także zapominają jakoś na chwilę o zmartwieniach... I pomyśl: od tylu lat, wszędzie gdzie są chrześcijanie,

Wielkanoc obchodzi się radośnie... czy tak by było, gdyby nie było ważnego powodu?

— Racz mi wyjaśnić ów powód, moja poważna siostrzyczko — rzekł Janek.

— Czy potrafię? Zdaje mi się że czuję i rozumiem, ale czy potrafię to wypowiedzieć? Dużo dałabym temu, ktoby mi to jasno i dobitnie wypowiedział, bo nie pierwszy raz słyszę: Poco się cieszyć z Wielkanocy?

— A no, to udaj się do używanego powszechnie środka: ogłoś konkurs; kto ci najlepiej odpowie na to pytanie, temu dasz w nagrodę... No, ale co mu dasz?

— Mój mazurek, jak będzie upieczony! — z uśmiechem rzekła Zosia.

— Twój mazurek? Hm, nagroda wcale nie zła, warto się o nią postarać. Zatem ja wnoszę, abyśmy dziś urządzili ten konkurs w naszym kółku; mamy dość czasu do namysłu do wieczora.

— Zatem ogłaszamy konkurs. Słyszycie dzieci? czy wiecie o co chodzi?

Dzieci dobrze wiedziały, to też młodsza trójka miała wielki szacunek dla starszego rodzeństwa i przysłuchiwała się uważnie ich rozmowie. Odpowiedziały też wszystkie:

— Wiemy! — a mała Madzia dodała: — Co to trudnego? Ja zaraz mogę powiedzieć, że...

— Zaczekaj trochę, razem powiemy, a przez ten czas radzę ci pomyśleć nieco nad twoją odpowiedzią.

— A ja myślę, że to trudne — rzecze cicho Józia.

— Ale z tem wszystkim pomożcie mi w zrobieniu mazurka, bo nagrody nie będzie! — zawołała Zosia.

— Słuszne żądanie, i ja pierwszy dam dobry przykład, i proszę o robotę; może mnie się nagroda dostanie, kto to wie? Muszę zatem dopilnować, aby była dobra. Tylko proszę o serwetę, ażeby zasłonić mundur; nie chcę aby się bliżej zapoznał ze sztuką kucharską!

Zosia wybiegła z pokoju i wkrótce z pomocą służącej przyniosła parę talerzy z migdałami i rodzenkami, a nawet donicę w której miano trzeć masę, bo w kuchni „nie można zawadzać” z tą zabawką, mówiła kucharka.

Wszyscy zabrali się do roboty, wyjąwszy Madzi, która stanowczo oświadczyła, że ma najpierw obowiązki względem swych córeczek i musi je ubrać, bo to pilniejsze jak wszystkie konkursy.

— Teraz pomówmy na seryo o warunkach konkursu — rzekł Oleś, gdy wszyscy już zasiedli do roboty. — Czy będziemy mówili czy pisali?

— O, pisać lepiej! — zawołała nieśmiało Józia, której przyszło na myśl, że nie miałaby odwagi głośno wypowiedzieć swego zdania. Stało się więc na tem, że każdy napisze swoją odpowiedź, a potem ktoś je przeczyta i później powie, czyje zdanie zostało uwieńczone. Dalsze rozprawy przerwał Karolek, oświadczając, że powinni być cicho, bo on nie może myśleć w takim hałasie, a przecież chce mieć mazurek.

Cisza zaległa więc pokój dziecienny. Zaledwie ukończono wspólną pracę około przygotowania ciasta, Karolek zabrał się do pióra i pisał, mazał, darł i znowu pisał, aż Janek zrobił mu uwagę, że zbyt kosztownem będzie

jego wypracowanie. Mała Madzia za to, polinowawszy sobie cały arkusz, pisała, pisała mozolnie a powoli...

Wreszcie o ósmej wieczorem, nagroda konkursu, pyszny mazurek stał na stole, a wkoło zgromadziła się dziatwa.

Kto będzie czytał? Żadne z dzieci nie chciało się podjąć tego zadania, postanowiono więc uprosić o to dobrego wujaszka Felusia, który najchętniej należał do zabawy swych małych siostrzeńców.

I oto co zawierała pierwsza kartka, którą wyciągnął z koszyczka, gdzie wszystkie były zmieszane:

„Dla czego cieszymy się z Wielkanocy? Cieszymy się z Wielkanocy, bo dzieci nie mają wtedy lekcyi, ubrane są w ładne sukienki, i mogą się bawić cały dzień. Ludzie pracujący, nic nie robią w te święta, tylko wypoczywają, więc im wesoło. W mieszkaniach pięknie i uprzątnięto; na stole przygctowano smaczne święcone; nawet biedni żebracy łatwiej dostają w ten dzień jałmużnę. A że to już zaczyna się wiosna, więc i na dworze i w ogrodzie wesoło. Ci tylko smutni być mogą, których jakieś wielkie nieszczęście spotka, np. gdy ktoś zachoruje w domu, albo też ci, którzy nie mają za co kupić święconego; ale takich chyba bardzo mało na świecie. Smutne też są dzieci, które nie mogą przyjechać do domu na święta, jak w zeszłym roku Zosia, ale i tych niewiele. Wesoło więc wszystkim na Wielkanoc”.

— Ot macie odpowiedź! — zawołał ze śmiechem Oleś. Wesoło, dla tego że wesoło... ale umilkł, spojrzawszy na czerwoną jak wisienka twarzyczkę Madzi.

— Wcale znów tak źle nie napisane, i owszem, dużo wtem jest prawdy; ale potem o tem, zobaczmy resztę — rzekł wujaszek i Oleś wyciągnął drugą kartkę.

„Dlaczego ludzie cieszą się z Wielkanocy? Cieszymy się z Wielkanocy, bo w tym dniu widzimy w około siebie same pogodne twarze. Bracia nasi i siostrzyczki, którzy są w szkołach, przyjeżdżają wypocząć po naukach; krewni których tak kochamy a rzadko widzujemy, zwykle do nas przyjeżdżają; nasi rodzice mają mniej zajęcia, i więcej z nami mogą przebywać. Przyjemnie też pomyśleć, że służący zaprzestają choć na tych dni parę swą pracę. Jesteśmy zatem weseli; i bardzo to dobry zwyczaj, że jest czas w roku przeznaczony na to, aby ludzie zapomnieli o pracy i troskach i w rodzinnem kółku czas spędzili.”

— Pisała to jakaś dobra osóbką, której szczęściem jest szczęście innych — rzekł wujaszek, a wszyscy sympatycznie spojrzeli na kryjącą się za rodzeństwo Józję.

Oto treść trzeciej kartki.

Dlaczego cieszymy się na Wielkanoc? Każdy rozumie, że uroczystość Zmartwychwstania Pańskiego obchodzi się modlitwą, zastanawianiem się nad tajemnicą wiary i nad sobą samym. Ale na cóż urządzać święcone, nad którem ludzie pracują do upadłego cały tydzień. Uprzątać dom, naznaczać zjazdy rodzinne, koniecznie w ten dzień? Uroczystość rodzinną możnaby zarówno dobrze urządzić któregoś bądź innego dnia w roku.

— O! co to, to nie! ja zawsze wolę Wielkanoc jak

jakieś naprzykład imieniny! — zawołał Karolek. — To zupełnie co innego!

— Przyznam się że wcale się nie zgadzam z autorem tego ostatniego artykułu; ten ktoś co to pisał uważa za nierozsądny zwyczaj, który wieki przetrwał; możeby też wołał pozostać w szkole w tym czasie... ale idźmy dalej. Jeszcze trzy kartki.

„Myślałem bardzo dużo i podarłem dużo papieru; ale wszystko co napisałem wydało mi się nie zupełnie dobre. Więc wołę powiedzieć, że sam nie wiem dobrze dla czego, ale to pewna że nigdy mi nie jest tak wesoło jak na Wielkanoc; musi więc w tem coś być, i wołę się zapytać wujka Felusia. Posądzają mnie że cieszę się tak jedynie dla święconego, ale to nieprawda, chociaż przyznaję że przykroby mi było bardzo, gdyby go nie było.”

— O! pocóż się podpisał! — zawołały dzieci ze śmiechem.

— A no bo i tak wiem, że nagrody nie wezmę... — tłumaczył się Karol.

— No, no! nie śmiecie się znów tak bardzo — rzekł wujaszek; — owszem, to wypracowanie ma wiele zalet; czyż i wam wszystkim nie byłoby przykro, gdyby nie było babek i placzków? bo mnie bardzo; szczególnie mam apetyt na ciasto przygotowane rączkami mojej siostrzenicy. Że zaś myślał wiele, to w każdym razie lepiej zrobił, jak ktoś co się wcale nie namyślał.

— Ale niech wujek teraz odpowie za Karolka — rzekł na to dotknięty trochę Oleś, autor poprzedniej kartki.

— Ha, cóż robić; muszę przyjąć miejsce które mi Karol odstępuje. Ale przeczytajmy wpierw ostatnie:

„Cieszymy się na Wielkanoc, gdyż jest to pamiątka najszczęśliwszego dla ludzi zdarzenia: Chrystus Pan ukończył dzieło naszego odkupienia; smutne są dni W. Tygodnia, bo przypominamy sobie mękę Jezusa, ale za to wesoły dzień, gdy już Jezus zmartwychwstał. Uczniowie Pana Jezusa bardzo się ucieszyli, widząc Go zmartwychwstałego; obchodzili też dzień ten co rok radośnie; naśladowali ich inni, i tak od jednych do drugich przeszedł zwyczaj ten aż do naszych czasów, a że jest chwalebny, więc nie trzeba o nim zapominać. Ale dla czego z wielkimi świętami łączą się rodzinne zjazdy, zabawy, tego wytłumaczyć nie umiem. Wiem tylko, że to także jest dawnym zwyczajem, czyli tradycją, i dla tego nam jest drogiem.

— Któreż więc jest najlepsze wypracowanie?

— Drugie—szepnęła Zosia.

Ostatnie—rzekła Józia i dzieci.

— Ależ i ostatnie nie wyjaśnia nam wszystkiego— zawołał Oleś.

Niech wujaszek nam powie—przypominał Karol.

Dobrze więc; spróbuję i ja moje zdanie wypowiedzieć. Najpierw muszę przyznać, że w każdym z wypracowań była jakaś dobra myśl. W pierwszym, Madzi, i w drugim, Józii, główną myślą jest: cieszymy się, bo nam dobrze, mamy zabawy, łakocie, wszyscy w około nas są weseli, i widzimy naszych krewnych i bliskich w koło siebie. Zosia powiada: cieszymy się, bo obchodzimy pamiątkę naszego odkupienia.

— Ale dla czego jedno z drugim tak się łączy? Tego nie wiedziała Zosia. Otóż dla tego dzieci moje, że każdy człowiek, gdy się cieszy, musi to okazać, bo taka to już natura ludzka. Wszak gdy was jakie szczęście spotka macie ochotę bawić się, weselić, śmiać i podzielić się szczęściem z innymi. Ztąd też od dawna ludzie w dzień Zmartwychwstania mówili: zapominajmy dziś o troskach, zaprzestańmy trudu, bo to rocznica dnia w którym nas wielkie szczęście spotkało. Więc zaprzestali pracy, a gdy jest czas wolny, więc krewni i przyjaciele zjeżdżali chętnie do swoich, a gdzie zjazd rodzinny i goście, tam też co najlepszego wydobywa się ze spiżarni; ażeby wszakże w dzień święta nie mieć kłopotu, służby nie męczyć, więc naprzód się gotuje, stąd poszedł zwyczaj „święconego” do którego wkrótce zaczęto tylko pewne używać potrawy. Zwyczaj ten trwa wieki. Każdy wspomina w dniu Wielkanocy swoje lata dziecinne, i swoim też dzieciom różne przyjemności urządza... Żalby mi było, gdyby ustało obchodzenie w ten sposób tego święta. Więc nie mówmy że to niewłaściwe, lecz powtarzajmy wraz z hymnem kościelnym: Alleluja Wszystkim radość niech będzie, w dzień Pańskiego Zmartwychwstania!

Skończył wujaszek. A dzieci zasłuchane, zamysliły się głęboko, a potem zawołały wszystkie: Alleluja!

— Niemądre moje wypracowanie! — zawołał Oleś, niech żyje wujaszek! mazurek jemu się należy.

— Tak jest, wujaszek dostanie mazurek — zawołały dzieci.

— I owszem; nie darmo tak go zdobyć pragnąłem rzekł śmiejąc się wujaszek — ale właśnie należy się on wszystkim, bo każdego, nawet Karolek, powiedział część prawdy; ja tylko wszystkie zdania połączyłem w jedno. Więc jutro, wszystkich uczestników dzisiejszego konkursu, zapraszam na herbatę do mego pokoju! A teraz spać. Jutro rano do kościoła, by Chrystusa zmartwychwstałego uczcić, a potem weselić się w dniu tym gdy wszystkim radość!

Mar.

ODWAGA I ZUCHWAŁSTWO.

PRZEKŁAD Z ANGIELSKIEGO M. P.

(Dalszy ciąg).

— Aha! — powiedział Jaś, pomyślawszy chwilę — to te litery znaczą Fermer Blossom?

— Ależ gdzietam, znaczą królowa Wiktorya. Nieraz w Londynie, w dzień imienin królowej widziałem te litery ułożone z płomieni gazowych nad magazynami albo na rogach ulic.

— Znaczą królowa Wiktorya?

— Naturalnie.

— Nie byłem nigdy w szkole, ale wiem przecie że Wiktorya zaczyna się od W.

— Bo to po łacinie.

— Aha! V. R. znaczy łacina.

— Co ci do głowy przychodzi! V. R. znaczy po łacinie królowa Wiktorya.

— Najlepiej zrobicie, jeżeli zaraz napiszecie tłómaczenie, bo u nas nikt po łacinie nie umie.

— Bardzobym chciał żebyś przyszedł na wieczerzę — rzekłem chcąc odwrócić rozmowę.

— Jaby nic nie miał przeciwko temu, ale trzeba żeby fermer przyszedł i prosił pokornie: „Jaśnie wielmożny panie, czy zechcesz nam pan zrobić tę łaskę i zaszczycić nas w piątek swojemi odwiedzinami? A jaby mu odpowiedział: „Dobrze fermerze, nie jestem dumny”. I przyjechałby kareta w sześć koni.

Śmiałem się z jego żartów i zacząłem opowiadać, ile i jakie potrawy przygotowują na tę uroczystość. Naprzód sprowadzono z miasta dwie ćwierci wołu, a każda z nich waży pewnie więcej niż sto funtów; pani Blossom przygotowała z dziesięć ogromnych pasztetów i puddingów wielkich jak koła młyńskie. Jaś słuchał ze zdziwieniem, a Julek się odwrócił; ja zaś wtenczas przerwałem, bo wiedziałem, że przesadzam i że mi tego mój braciszek nie pochwali.

Konia zaprzęgą do wózka, żeby to wszystko do stodoły przewieść; szkoda że tak daleko od domu, ale puddingi ugotują w pralni, tuż koło stodoły, żeby je mieć pod ręką i podać zaraz po mięsie, a ciasta i pasztety przyniosą przed wieczerzą.

O, z pewnością! Ale Betty i Zuzia chciałyby także należeć do wieczerzy, więc będą się śpieszyły, a pani Blossom tak wszystko ułoży, żeby na czas zdążyć.

— Więc pani Blossom sama będzie domu pilnowała?

— Gdzieżtam, dom sam się dopilnuje. Nie tak to daleko do stodoły i pewnie często będą chodzili tam i napowrót.

— Chciałbym zobaczyć stodołę jak ją przystroicie.

— Przyjdź jutro po obiedzie, to się przypatrzysz.

— Nie warto! jeszczeby mię dzierżawca batem wybił. Pamiętasz jaką minę zrobił, kiedym was ostatni raz odwiedził?

— Jutro go w domu nie będzie, a pani Blossom ma zawieść na głowie, żeby na ciebie zważała. Możesz śmiało przyjść.

Nie przypuszczałem że Jaś przyjdzie, a prawdę powiedziawszy wcale o nim nie myślałem, bo od samego rana przystrajaliśmy starą stodołę. Z jednej strony ułożyliśmy ogromne „Żniwa” a z drugiej „Oatlands”. Pani Blossom znalazła u siebie kwiaty z kolorowego papieru, które powtykaliśmy w zielone wieńce, co je niezmiernie ożywiło.

Co za radość mieć do rozporządzenia młotki i pełne worki gwoździ! To też cały dzień przybijaliśmy gałęzie i wieńce, nie zważając na to, że nieraz zamiast na główkę gwoździa, młotek spadał nam na palce.

Pan Blossom od samego rana był w polu, a żona jego zaledwie miała dosyć czasu żeby naszą pracę pochwalić. Bez ustanku chodziła z kuchni do spiżarni, ze spiżarni do pralni, tu połajała Zuzię za niedbalstwo (ale tylko troszkę, bo była w doskonałym humorze) tam powiedziała co mają robić i nieraz sama ręki przyłożyła.

(d. c. n.)

Skrzynka do listów.

Na pisywanie do Gołąbki wcale nie trzeba pozwolenia **Leszczy**, zrobilibyśmy jej największą przykrość, gdybyśmy jej wzbromili odbierać od was listy. Numer żądany posyłamy.

Widocznie nie zawsze szczebioczesz, **Szczebiotko**, skoro nadesłałaś dobre rozwiązania.

Fregato, Różycka chińska nie zapomniała o tobie i serdecznie cię pozdrawia; nie mamy jednak teraz miejsca na wasze liściki. Do nas zaś pisuj jak najczęściej, ile razy ci się podoba i dotrzymaj obietnicy należenia do konkursów.

„Stara gwardya,” jak samą siebie nazywa **Babie lato**, sprawiła nam serdeczną przyjemność swem odezwaniem się po tak długim milczeniu.

Kochana **Alicya M.**, która tak przykładowie dzieli się z siostrzyczką **Wieczorami**, nie dopatrzyła, że dodatek ma numer porządkowy na końcu pierwszej stronnicy.

Co **Wiewióreczka** rozumie pod wyrazami „było napieczęto-wano?” Nie wiemy o co jej chodzi. Łamigłówkę **Kreta z Now.** otrzymaliśmy i przejrzymy, zarówno jak łamigłówkę **Zielonej gałązki**. Wiesz dla czego przyjąłś bez urazy to, co nazywasz „uaganą?” Dla tego iż czujesz, że w każdym słowie do was zwróconem odzywa się szczerze kochające was serce.

A jakże, **Czarna Perełko**, zawsze się przyda i bardzo, znoszone wasze ubranie dla ubogich dzieci, których rodzice nie mają w co odziać. Nieraz się zdarza, że dziecko nie może chodzić do szkoły, lub nawet do zajęcia mogącego przynieść zysk jakiś, dla tego tylko że jest bosa, lub niedostatecznie okryta. Prosimy więc, usilnie prosimy, pamiętajcie o ubogich dzieciach, rok bieżący bowiem, z powodu drożyzny, cięższym jest od poprzednich dla ubogich.

P. Radl. w Kijowie. „Sad przy chacie” wraz z przesyłką kosztuje kop. 36. Ponieważ odebraliśmy tylko rs. 1 kop. 25, to jest tyle, wiele wynosi kwartalna opłata pisma, zatem należy nam się kop. 36 za wysłaną książkę.

Moja droga **Śmieszko z nad Niewiaży**, jeszcze mi się nie zdarzył ten zaszczyt, żeby kto moje „rączki ucałował.” Dla czego nie miałabyś mię uściśnąć, jak siostrzyczkę? Choć starsza od ciebie, nie jestem jednak zgrzybiałą. Sądząc z twego pisma, wnoszę, że dobrze zrobiłaś, usłuchawszy mamusi — już to na tem to się nigdy nie traci i sama to wiesz, kiedy przyznajesz, że ci „teraz przyjemnie.” Mnie znowu bardzo jest przyjemnie dowiedzieć się od **Konwalijki**, że ją moje listy zachęciły do pisywania do mnie. W wydrukowaniu twego pseudonimu mogła rzeczywiście zająć omyłką, ale co do drugiego... czy czasami to co wam się zdaje „zmyłką” (powinno być omyłką) nie jest po prostu poprawką, której nieraz liściki potrzebują i to bardzo. Naprzykład pewna paniienka pisze „w mojem rękopisie” — czy to poprawnie? Macie wprawdzie jeszcze czas nauczyć się pisać ortograficznie, bo mniej więcej wszystkie jesteście w wieku, w którym — jak słusznie powiada **Kinga** — najwięcej trzeba się uczyć. Jak mi donosi, ma ona czas bardzo zajęty tak dobrze, (przez mamusię zapewne?) rozłożony, że ma porę wyznaczoną na każde z licznych zajęć, koniecznych dla dziewczynek jej wieku, nawet na taką miłą rozrywkę jak ślizgawka. Używano jej jeszcze niedawno pomimo ciepła i fijołków, a nawet róż, które widzujemy całą zimę w Warszawie, **Horpy**. Przyłasczek nie widziałam jeszcze innych, prócz wychodowanych sztucznie, jak róże i fijołki, ale zawsze bardzo przyjemnych. Nuty, o które pytasz, kosztować będą z przesyłką pocztową rs. 1 kop. 80. Rada jestem że ci mogłam oddać tę przysługę w dowód szczerzej przyjaźni, jaką ma dla was wszystkich.

Gołąbka.